

Niewielka „biała plama” o czerwonym kolorze

WIKTOR ZIN

DNIA 26 WRZEŚNIA 1939 R. — WE WTOREK miało miejsce w Hrubieszowie wydarzenie, które można zakwalifikować do tych, które — słusznie czy nie — nazywamy „białymi plamami”. W imię prawdy warto o nim wspomnieć. Autor postanowił nadać mu literacką formę opowiadania, w którym z konieczności znajdzie się sporo domniezań, na co zezwala ten gatunek prozy. Fakty jednak będą podane innym rodzajem druku po to,

by świadczyły jednocześnie o rzeczywistych wydarzeniach.

W opisywanym czasie wiadome stało się, że wojska sowieckie opuszczają tereny położone na zachód od Bugu. Sporo ludzi, których byt pod okupacją niemiecką był zagrożony postanowiło wyjechać wraz z Sowietami. Najbardziej zagrożeni poczuli się Żydzi. Dla nich pozostanie pod okupacją niemiecką równało się zagładzie, zwłaszcza że niektórzy z nich bardzo zaangażowali się

w nowo kreowanej władzy, występując z czerwonymi opaskami i karabinami. W tym czasie jednak rozeszła się po Hrubieszowie plotka, że wszyscy chętni będą mogli ze Związku Radzieckiego wyjechać do Ameryki lub Palestyny.

Zamożni Żydzi wydelegowali do komisarza radzieckiego swego przedstawiciela by wywęszył jak to jest naprawdę.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6—7)

* * *

NA ROZMOWĘ UDAL SIĘ HANDLARZ DREW- NEM RATNIEWSKI, który doskonale władał językiem rosyjskim i stosunkowo późno powrócił do Polski po pierwszej wojnie światowej. Znajac świat przyniósł nawet komisarzowi prezent, butelkę pejsachówki.

— Rzec w tym — zaczął rozmowę — że wielu Żydów z tego miasteczka chce z wami wyjechać. Bomy się hitlerowców. Ponadto od was można będzie udać się dalej w szeroki świat.

rzemieślników. Napiszcie też dokąd oni chcą wyjechać, ze Związku Radzieckiego? U was fabryk nie było więc i robotników na liście nie będzie, chłopów także — dodał ten w skórzanej kurtce. — Ja w życiu nie spotkałem Żyda pracującego na roli.

* * *

ZACZĘTO WTEDY W HRUBIESZOWIE SPO- RZĄDZAĆ TĘ LISTĘ. Żyd Zelcer, nasz sąsiad, radził się mego dziadka, wyjeżdżać, czy zostawać? Dziadek odpowiedział mu:

— Sąsiedzie taki wyjazd to już nie na nasze lata. Pojedziesz pan zostawiając

W tym momencie komi- sarz przerwał czytanie listy.

— Słuchajcie no — powiedział. — Tu pod numerem 23 jest wymieniony Grin- berg. Czym on właściwie się trudni?

Żydzi z delegacji odpo- wiedzieli:

— To bardzo porządny człowiek. On jest właścicielem lombardu.

— A cóż to takiego? — za- pytał komisarz. Wyobraźcie sobie panowie Żydzi — czyli iwreje, że tyle żyją a o lombardzie nie słysza- lem. Wytłumaczcie mi co to takiego?

Niewielka „biała plama” o czerwonym kolorze

Komisarz uśmiechnął się dobrotliwie i powiedział:

— Naturalnie, że nie zostawimy was tu na pastwę faszystów. Musicie jednak wiedzieć, że to ani moja, ani wasza sprawa. Najogólniej mówiąc rozmawiamy o sprawie państwowej, a do

wszystko? Niech jadą mło- dzi.

— Tak i ja myślę — od- powiedział Zelcer.

* * *

ZA TRZY GODZINY prawie wybrany komitet przedstawił komisarzowi kilkudziesięcioosobową listę

Ratniewski gestykulując rękoma zaczął mówić:

— Teraz wy wyobraźcie sobie towarzyszu komisa- rzu, że zgraliście się w kar- ty...

Ten w skórzanej kurtce przerwał ostro.



Rys. WIKTOR ZIN

takie potrzebne są doku- menty. Musicie powołać co najmniej trzyosobowy ko- mitet. Mnie niczego nie wolno czynić na własną rękę. Oto siedzi przy mnie oficer polityczny, zapewne i on was poprze.

Pałacy papierosa czło- wiek w skórzanej kurtce z wielkim mauzerem u pasa kiwnął głową. Komisarz kończył:

— Musimy przecie wie- dzieć kogo zabieramy. My przemocy nie stosujemy. Ludzie winni zgłosić się dobrowolnie, żeby później nie mówiono: wywieźli ich wbrew woli, przemocą.

Sporządźcie więc listę nazwisk. Chcemy wiedzieć ilu zabieramy kupców, ilu

wykaligrafowaną przez Rat- niewskiego po rosyjsku. Były na niej nazwiska Ży- dów, przy każdym znalazł się zawód i wiek. Oficer polityczny czytał ten ar- kusz papieru jak najcie- kawszą powieść. W końcu złożywszy papier powie- dział:

— I wszyscy chcieliby wyjechać później do Stanów Zjednoczonych? To bardzo ciekawe.

Żyd Husman, który pro- wadził duży sklep bławat- ny położył przed oficerami obły pakunek.

— Tam jest prezent — powiedział — dla szanow- nych towarzyszy. Dobra angielska wełna na dwa garnitury. My niczego za darmo nie chcemy.

— My nie gramy w kar- ty.

Nie zbity z tropu Żyd kończył:

— Więc ktoś tam zgrał się w karty i nie ma grosza, ale za przeproszeniem, ma srebrny zegarek. Wtedy on idzie do lombardu i zasta- wia... zegarek, sygnet, a nawet... kamasze.

Komisarz patrzył na Ży- da jakby z politowaniem.

— Widzę — powiedział — że nie potrafisz mi niczego wytłumaczyć.

Później przymknął oczy i zaczął deklamować:

*Wczera swai srebrnoczasy
za trzy rubla ja załambardił
Kupił trzy funta kalbasy
Nie sjeł, a priamo zleopardił
Po polsku strofa ta brzmiela
Wczoraj swój srebrny
zegarek*

za trzy ruble
Kupiłem trzy funty
którą po prostu

zalombardzilem

kielbasy

zleopardzilem

Wiersz ten nie jest czymś nieznanym w literaturze rosyjskiej, ale też byle komisarz nie musiał go znać. Dowodziło to, że był człowiekiem wykształconym i prowadził z Żydem jakąś grę. Po prostu bawił się jego kosztem.

Znudzony oficer polityczny przerwał brutalnie.

— Dość deklamacji i żartów! Tu należy pomyśleć o podwodach. Przecie Żydzi zechcą zabrać ze sobą jakieś rzeczy.

— My za wszystko solidnie zapłacimy, wtrącił Żyd z siwiejącą brodą.

— Jeśli tak, to my damy całej waszej grupie podwozy wojskowe, pewne i niezależne.

* * *

IDĄC TEGO DNIA ULICAMI NASZEGO MIASTA WIDZIAŁEM WIELE CHŁOPSKICH FURMANKI, którymi powozili sowieccy żołnierze. Zapamiętałem ich dlatego, że mieli brezentowe, parciane buty. Wozy te zatrzymywały się przy żydowskich sklepach skąd wynoszono zwoje dywanów, bele płótna, lustra, a nawet beczki ze śledziami. Ktoś wtedy powiedział:

— Rabują naszą Polskę ze wszystkiego.

Ale ktoś inny dodał rezolutnie:

— Wolnego, mój panie. Ja tu rabunku nie widzę. Sam Gliksberg, właściciel sklepu układa swoje towary na wozie. Przed wieczorem zebrał się spory konwój na drodze prowadzącej w kierunku Uściługa i Włodzimierza.

* * *

Ktoś wtedy powiedział do siedzących na wozach Żydów.

— Czy nie żałujecie swego miasteczka?

Odpowiedzieli:

— Pytanie? Cóż mamy jednak robić. Hitler na karku, Polska centojt (umarła). A my chcemy przeżyć.

* * *

BYŁO JUŻ ZUPEŁNIE CIEMNO GDY WOZY RUSZYŁY, było ich kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt. Minęły skrzyżowanie i ciemny masyw cmentarza, pojechały drogą pustą i nierówną obrośniętą wierzbnami. Tuż za Teptiukowem, tam gdzie zaczynają się wertepy i gliniane nierówności, które przerażają się w bagno...

Ten w skórzanej kurtce dał komendę, żeby wozy zatrzymały się, a Żydzi zbrali po drugiej stronie drogi, bo trzeba ustalić regulamin dyżurów i wybrać radę konwoju. Kobiety z dziećmi też muszą opuścić furmanki by wysłuchać przemówienia komisarza. Furmani również zeszkoczyli z kozłów i poszli uzbrojeni za Żydami. I tu, około godz.

9.30 musiało wydarzyć się coś okropnego. Opiekunowie strzałami w głowę uśmiercali tych, którzy im zaufali. Ktoś zapalił pochodnię. Komisarz skrupulatnie sprawdzał nazwiska. Inni strzelali i kłuli bagnietami. Zginęło wówczas około 55 osób, w tym były kobiety, dzieci i ludzie starsi. Wnet przyjechało kilka rozklekotanych ciężarówek, na które załadowano dobytek z żydowskich wozów. Komisarz wraz z tym drugim w skórzanej kurtce wsiedli do ostatniego samochodu i pojechali w kierunku na Uściług. Dowództwo grupy objął jakiś starszyna. Bardzo szybko rozebrano zastrzelonych do naga, rewidując przy tym dokładnie ubrania. Wszystkie dokumenty spalono, rzeczy cenne starszyna ładował do worka. Około północy smutny konwój wracał do Hrubieszowa. Wozy skręciły w kierunku cmentarza. Wyładowane były nagimi trupami.

Wtedy jeden z konwojentów zastukał do drzwi domku stojącego najbliżej cmentarnej bramy. W oknie żarzyło się jeszcze światło. Mundurowy kołatał wołając: „Mogilszczyka nam nada. Gdzie zdies wojennych kłabiszcze? Pytano o grabarza i wojskowy cmentarz.

Wyszedł wtedy nieżyjący już dziś pan Szydłowski, który opisywaną historię zrelacjonował memu dziadkowi:

Wozy ciemną i wyludnioną ulicą jechały wzdłuż cmentarnego ogrodzenia. Przy kaplicy zatrzymano dwóch podchmielonych mężczyzn. Starszyna oznajmił, że są aresztowani i będą użyci do pogrzebania plennych, czyli jeńców.

W tym czasie na cmentarzu wojskowym było zawsze przygotowanych kilka dołów. W szpitalach umierali ciężko ranni żołnierze polscy. Przywożono ich tu i grzebano w nie heblowanych pakach, które zastępowały trumny. Tym dwóm zatrzymanym żołnierzom kazali kopać następną jamę. Sami zaś zaczęli wrzucać do dołów nagie ciała.

Noc była jakaś szara i wietrzna. W pewnej chwili Szydłowskiemu wydawało się, że zna skądś okrwawioną twarz. Poznał Żyda, właściciela lombardu. Nasz grabarz był człowiekiem wysoce inteligentnym. Gdy stwierdził, że starszyna i wielu konwojentów odjechało, włos zjeżył mu się na głowie. Przecie tych dwóch pozostało by zabić właśnie nas. Ja zginę ostatni bo pochowam jeszcze tych nieszczęśników, którzy teraz zasypują ciała pomordowanych. Cmentarz wojskowy w Hrubieszowie znajduje się tuż przy kaplicy. Jej ciemny masyw wypiętrzał się pomiędzy drzewami. Grabarz podszedł do jednego z pilnujących ich wartowników i powiedział szeptem:

— Towarzyszu dowódco. Ja tu dwa kroki stąd mam w kaplicy butelkę spirytu. Do takiej roboty należałoby się napić. Jeśli każecie to przyniosę.

Być może gdyby grabarz prosił wartownika nie pozwoliłby mu. On tylko zapytał. A noc była zimna i spirytusem nie wolno było pogardzić. Pan Szydłowski bardzo powoli poszedł w kierunku kaplicy słuchając czy nie szcęknie za nim zamek karabinu. Chrząściły tylko łopaty. Tych dwóch wciąż zasypywało żydowskie groby.

Przypominam doskonale ten fragment opowieści pana Szydłowskiego. — Mówił do dziadka tak:

Panie mistrzu drogi. Gdy minąłem kaplicę, zacząłem uciekać jak zając przed psami. Znałem tu każdą ścieżynę. Kluczyłem pomiędzy pomnikami, a właściwie unosiłem się ponad nimi jak anioł. Minąłem swój dom i dopiero nad ranem znalazłem się w Dziekanowie u swego przyjaciela. Ten ukrył mnie w stodole.

Konwojenci po pewnym czasie zorientowali się, że mogilszczyk zwiął. Trudno. Gdy groby były w miarę zasypane powiedzieli aresztowanym:

— No, a teraz czas na was. Padły dwa strzały. Na świeżej mogile leżeli jeszcze dwaj zabici. I wtedy jeden z żołnierzy zapytał drugiego: — Wanią a czy oni z nami nie zrobią tego samego? Zapytany roześmiał się. — Oni poszli na Uściług, a my pojedziemy na Łucok. Zgubimy się w tłumie. Nasza ojczyzna duża. Myślę jednak, że na czas jakiś musimy udać zaginionych albo zabitych.

...

Jacyś przygodni ludzie pogrzebali dwóch nieznanymi mężczyznami na hrubieszowskim wojskowym cmentarzu. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, ale skoro znaleziono ich na cmentarzu wojskowym dowodziło to, że mieli coś wspólnego z wojną.

Dziś po pięćdziesięciu latach gdy opisuję tę mało znaną lub wręcz nieznaną historię zastanawiam się nad jednym. Nie nad moralnym określeniem czynu, jest on jednoznaczny i nie wymaga żadnych komentarzy. Zupełnie czytelne są też jego motywy. W sferze niepewnej pozostaną tylko sprawy związane z „legalnością” czynu. Jak wysoko w hierarchii władzy należy poszukiwać przyzwolenia na dokonanie opisanego mordu. Bo przecie mogło się zdarzyć, że dogadało się ze sobą dwóch pospółtych bandytów. Tu wszakże rodzi się pytanie: czy w organizacji takiej jak wojsko, mające swój regulamin, bojową tradycję i sędziarstwo. Czy w takiej formacji mogłoby działać dwóch zwykłych bandytów? Wydawać innym rozkazy, ścigać dyscypliny. Na te pytania nie potrafię udzielić odpowiedzi. Wydaje się jednak, że epizod z Żydami hrubieszowskimi tak idealnie przylega — lub lepiej — tkwi w czasach stalinowskich, że wypada nam tylko cieszyć się, żeśmy je przeżyli. Czasy pokolenia potworów.

WIKTOR ZIN

PS Miejsce żydowskiego grobu zostało tak dokumentalnie przebyte przez późniejsze groby niemieckie i polskie, że dziś jedynie jakiś symbol potrafi je upamiętnić. A warto, bo może się ono okazać jednym z wczesniejszych w drugiej wojnie światowej masowym grobem pomordowanych Żydów.

I jeszcze jedno po pięćdziesięciu latach żyje w Hrubieszowie spora wiarygodnych świadków opisanych wydarzeń.